№ 8. Warszawa, dnia 11 (23) Lutego 1881 r. Rok II.



PISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA KOBIET, WYCHODZĄCE W KAŻDĄ ŚRODĘ.
POŚWIĘCONE LITERATURZE, WSZELKIM GAŁĘZIOM PRACY KOBIECEJ ORAZ MODOM.

Warunki prenumeraty Edycyi I-ej,
w Warszawie: Miesięcznie kop. 42, kwartalnie rs. 1 kop. 25, półrocznie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 5.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 1 kop. 60, półrocznie rs. 3 kop. 20, rocznie rs. 6 kop. 40.

ADRES REDAKCYI:
ulica Niecała Nr 8.

Warunki prenumeraty Edycyi II-ej,
w Warszawie: Miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

MIMOZA.

Mimoza, kwiatek drobny, maleńki
Unika dotknięć człowieczej ręki,
Dziewiczą szatą chce być odziana,
Chce być ukryta, cicha, nieznana;
Gdy jej niebacznie ręka dotyka,
Zaraz swe drobne listki zamyka,
I tak się tuli w swoje ramiona,
Jakby przeczuciem była strwożona,
Jakby wiedziała—że ręka ludzi
Często śnieżystą szatę pobrudzi.

Dla różnych kwiatów, ludzkie marzenia
Nadały różnych uczuć znaczenia.

Oprócz skromności Mimoza—jeszcze
Oznacza takie przeczucie wieszcze,
Co mimo licznych gór i strumieni,
Co mimo znacznej świata przestrzeni,
Widzi osobę drogą w niedoli,
I w tem przeczuciu serce ją boli.

Mimoza znaczy ten łańcuch święty
Którym duch z duchem zostaje spięty
Ogniwem takiej silnej miłości,
I tak dokładnej w myślach zgodności,
Że ledwie jedna z osób zamarzy
Już to wyczytasz na drugiej twarzy.
I czy to smutek, czy też wesele,
Kolce czy róża u stóp się ściele,
Czy to niepokój w sercu się nieci,
Lub łza tęsknoty w oku zaświeci,
Druga osoba zawsze i wszędzie,
Tych samych uczuć doświadczać będzie.

Mimoza różne miewa postacie,
Śliczna—jeżeli w kwiateczka szacie,
Ale nierównie więcej zachwyca,
Gdy ją przedstawia nasza dziewica.

W takie Mimozy, kraj nasz bogaty,
I czy odwiedzim domek ubogi,
Czy z domku przejdziem w szlacheckie progi,
Albo w przepyszne panów komnaty,
Wszerz i wzdłuż kraju, ten kwiat uroczy,
W postaci Polki staje przed oczy!

Ignacy Poraj.

KOBIETA I RÓŻA.

Kobieta z różą jednę grają rolę,
Obie czarują blaskiem swej urody:
Róża wspaniale ozdabia ogrody,
Kobieta szczęściem w żywota padole.

Róża choć nawet czasami ukole,
Jednak nie sprawia ni rany, ni szkody;
Kobieta zda się pozbawia swobody,
A sama życie oddaje w niewolę.

Gdy wicher wieje, niebo się zachmurza,
Różyczka ginie listków pozbawiona,
I tu z kobietą nie równa się róża;

Bo gdy kobieta w cnotę uzbrojona,
To choć łzy w oczach i w sercu wre burza,
Z burzy wychodzi w Anioła zmieniona.

Ignacy Poraj.

W JESIENI.

(ROZMOWA).

— Tak, panie, my już starzy, nie możem się [bawić,
Miłość, złudę, marzenia, młodszym już zostawić.
Mnie wkrótce już dobiega rok dwudziesty szósty,
To już doprawdy grzechem, każdy wyraz pusty.
Pan pewnie o dziesiątek lat starszy odemnie,
Spotykać się więc często, rozmawiać przyjemnie,
Przystało dla nas bardzo, lecz nie o miłości,
Na to, ach! na to trzeba, marzenia, młodości...
Na to, trzeba koniecznie wiosennego nieba,
Ułudy, złotych marzeń...
— A nam czyż nie trzeba
Choć chwilkę jeszcze w przeszłość tak bliską ulecić,
I z młodych snów i marzeń, trwałą przeszłość sklecić?
I chociażby w jesieni zakosztować słonka?...
— O! nie, panie, bo życie, nie złuda, nie mrzonka.
— Tak, pani, prawda szczera, życie twarda praca;
Lecz wszakże jesień milsza, gdy słonko ozłaca
Ostatnie kwiaty jeszcze nie zwarzone skwarem,
Co nas świeżością woni, pociągają czarem...
Tą świeżością i wonią, czasem upojeni,
Nie spostrzegamy prawie żeśmy już w jesieni;
Wszak czasem i w jesieni kwiecie wonna róża,
Czasem w późnej jesieni przejdzie nawet burza,
I wstrząśnie nami silnie i sercem poruszy,
A po niej jednak wonniej i cieplej nam w duszy.
— A potem tęskniej, smutniej, kiedy się spo- [strzega,
Że wszędy liść pożółkły drogi nam zalega;
Że go nie łatwo rozwiać i usunąć z drogi,

Bo gdy chcemy ominąć, przylega do nogi.
Tak samo przylegają i troski żywota,
Na które czar młodości, marzenie, pustota,
Zamyka szczelnie oczy i o szczęściu marzy;
Lecz my, oh! my, mój panie, myśmy już za starzy.
— Więc według pani, nam już nic a nic nie [wolno....
I nawet kiedy pracą długą, a mozolną
Przejdziemy całe życie, nie wolno zamarzyć
O źdźebełku choćby szczęścia?...
— Nie, bo może sparzyć
Jak iskra, albo ogień nagle wywołany.
— Więc żegnam, w takim razie, odchodzę [wyśmiany...
— Oh! już znowu obraza! któż mówi o śmiechu?
W rozmowie i przyjaźni przecież nie ma grzechu.
Zostań pan, proszę bardzo!
— Niepotrzebnym pani,
Wszystko co tylko powiem, rozsądek jej gani.
Czasem, kiedy jej lice płoni się szkarłatem,
A oczy żywo błysną, jakby uczuć kwiatem...
Wtedy pani, oh! wtedy, uciekłbym przed sobą,
Bo spokój mój i szczęście, tylko w tobie, z tobą...
— Na Boga, bądź pan cicho, jeszcze kto po- [słyszy
Całą naszą rozmowę, nas samych ośmieszy,
Że chcemy młodym zabrać zapał złoty, szczery,
I starzy, rozmawiamy według ich maniery.
Że gwałtem chcemy wiosny, kiedyśmy w jesieni.
— Ha! dobrze, niechaj pani rozmowę odmieni,
I raz w końcu wypowie otwarcie, a szczerze,
Co nam wreszcie przystoi; może jej uwierzę:
Słowa pani są zawsze przekonywające.
— Tak to lubię, więc zgoda. To słońce gorące
Nadto świeci i rzuca promieni na głowę,
Więc ze zmianą rozmowy, znajdźmy miejsce nowe.
— Dobrze, pani, z ochotą...
— Przejdźmy do salonu,
Pokój ten mi zaciasny. Ach! drzwi od balkonu
Niechaj pan z łaski swojej na rozcież otworzy:
Dziękuję, lubię patrzyć na piękny świat boży,
Na ludzi i na kwiaty....
— Tak gdy wiosna wróci,
Bo w jesieni to smutno, niech pani zarzuci
Ciepły szal na ramiona, bo to czas jesienny.
— Taki upał i słońce! ach jakżeś pan zmienny,
Przed chwilą jesień dla cię miała wiosny kwiaty,
Teraz chłód cię owionął, trzeba puchu, waty,
Zacisznego pokoju, ciepłego komina,
I umbrelki na lampę....
— A czyjaż w tem wina?
Gdy w mem sercu, na świecie, wesoło, radośnie,
I gdy w życia jesieni, przypomnę o wiośnie;
Gdy wszystko w około nas i w samej naturze,
Nuci wiosny piosenkę w harmonijnym chórze;
Gdy jesień się uśmiecha, pełną wiosny wonią,
Rzucając wśród nas słońce, swą rozrzutną dłonią,
A bogactwem jesieni ubrana przyroda,
Uśmiecha się nam mile, boć jest wiecznie młoda:
Ty uciekasz od słońca, od kwiatów, a czary
Co na nas rzuca jesień... nie dajesz im wiary:
Więc ochłodłem i słucham co nam pozostało?
— Prawda, zaraz, pomówmy jako to przystało
Ludziom, co to oddawna znają się już przecie....
Prawda, panie?
— Tak, pani, najprawdziwsza w świecie.
— A więc proszę o przyjaźń, my starzy oboje,
Możemy się przyjaźnić, bez szkody we dwoje.
Pan do mnie codzień przyjdziesz na szklankę her- [baty,
Wokoło nas cisza, spokój, fortepian i kwiaty.
Ja czasem panu zagram, lub zaśpiewam czasem;
To znów wezmę robotę, a pan mi tymczasem
Jaką książkę przeczyta. A gdy się to znudzi,
Gdy mnie szycie, a pana książka zbyt utrudzi,
To przy płonącym ogniu ciepłego kominka
Zejdzie nam na wspomnieniach niejedna godzinka;
Wszak nam będzie tak dobrze? My zdawna zna- [jomi,
Lat temu... nie pamiętam, niechaj pan przypomni..
— Tak pani, my znajomi lat już bardzo wiele:
Wtenczas.... tak, przypominam, było to w ko- [ściele....
— Ach prawda! u Karmelitów...
— O nie, bo u Fary.
— Upuściłam chusteczkę.
— A z nią jakieś czary.
Ja podniosłem chusteczkę, ale tłumu fala
Właścicielkę chusteczki odsunęła zdala.
A więc mimo najszczerszej chęci i ochoty
Chusteczki nie oddałem. I do swej roboty
Powróciłem mozolnej... Byłem zbyt ubogi
Ażebym mógł pomarzyć. Życia mego drogi
Wypełnione są pracą mozolną i nudną.
Walcząc z losem przebyłem całą młodość złudną
I wyjechałem z kraju. W lat prawie dziesiątek
Wśród złożonych papierów, wspomnień i pamią- [tek,
Odnalazłem chusteczkę. I o wielkie dziwy!
Na jej widok westchnąłem, jak student prawdziwy,
I pobiegłem do Fary. Tam pobożnych tłumy,
Jak to zwykle w niedzielę podczas wielkiej sumy.
Stanąłem za filarem, przedemną klęczała
Właścicielka chusteczki, i czy mnie poznała,
Nie wiem; lecz spojrzawszy spłonęła rumieńcem:
Poznałem ją od razu. Nie była dziewczęciem
Już młodziutkiem, lecz słuszną panną i dorodną,
Pewną siebie, wspaniałą, a taką swobodną,
Taką, jak przed laty. Nie oddałem chusteczki,
Czemu? nie wiem. Wróciwszy z wycieczki
Zagranicznej, dobiwszy się chleba,
Odwiedziłem znajomych. I zdarzenia trzeba,
Że wieczorem na pierwszej proszonej herbacie
Wchodzi moja znajoma w powłóczystej szacie;
Z uśmiechem rączką w okół powitanie daje,
Mnie zda się nie spostrzega, zda się nie poznaje;
Lecz gdy gospodarz moje nazwisko wymienił,
Rumieniec znów jej lice purpurą spłomienił.
Zaczęliśmy rozmowę....
— Pamiętam ją dobrze,
Zaczęliśmy, to śmieszne, o wygranym robrze
Przy dziadunia stoliku...
— Potem stosunki, kraje,
I życie zagraniczne, i obce zwyczaje....
— Potem o pracy u nas, o życiu społecznem,
O tem co zbędne u nas, a co jest koniecznem;
Potem o sztuce, książkach, poezyi, muzyce...
— I nie spostrzegłam nawet, że już gasną świece,
I że goście żegnając odchodzą do domu
I nie wiem czy ten wieczór zbiegł tam szybciej [komu.
— Pamiętam, żeśmy wtenczas nie spoczęli [chwili
I jak dzieci wesoło, swobodnie gwarzyli....
— I odtąd codzień gwarzym, a tak nam z tem [dobrze!
— Póki nie zaczniem mówić o przegranym ro- [brze!
— O przegranym? a poco? Dziadunio się [gniewa,
Gdy mu karta nie idzie i robra przegrywa,
A więc ja o przegranej nie powiem i słowa....

Wtem ptaszek się z kądś ozwał i piosnka go- [dowa
Spłynęła im na balkon, w promieniach księżyca,
Jesień wiosnę przyniosła, i ot tajemnica.

Z. M.

Z TYGODNIA.

— Nowy dowód naglącej potrzeby opieki nad niemowlętami, przedstawia sprawa Antoniny Piorunowej.

Dziecinkę powierzoną sobie na wykarmienie przez matkę nieszczęśliwą, — niegodziwa ta kobieta głodem zamorzyła.

Serce się ściska czytając opis tej sprawy. Dziecko nigdy nie było myte i kąpane, leżało prawie nagie w barłogu okropnym, niczem nie pokrytym, bez żadnej opieki. Piorunowa pieniądze jakie otrzymała z góry na wykarmienie przepiła, a dziecko rzadko i źle żywione—coraz nędzniej wyglądało; ciałko na niem gniło i biedactwo w męczarniach zakończyło życie. Czyż może być okropniejsza zbrodnia i jakże niedostępne wszelkim uczuciom było serce tej *kobiety* skazującej na powolne konanie niewinną istotkę! Matki nierównie więcej nieszczęśliwe niż występne, same najczęściej w nędzy będąc, nie są w stanie dziecko swe wychować, muszą zatem iść do służby na mamki, a dziecko oddają na wykarmienie.

Kobiety podejmujące się hodowania dzieci uważając to za niezły zarobek, rodzaj rzemiosła dobrze procentującego, najczęściej nie wykarmiają piersią, ale trzymają dziecię na garnuszku. Niedbalstwo, złe obejście—zabijają powoli biedne ofiary, a im prędzej one kończą—tem, bodaj czy nie lepiej dla nich, bo przynajmniej mniej cierpią.

„Towarzystwo Przyjaciół dzieci" gdy rozwinie swą działalność, jeżeli nie wszystkie niemowlęta skazane na śmierć przedwczesną, to przynajmniej znaczną ich część uratuje od zagłady.

A przecież Wiktor Hugo, ten głęboki myśliciel i poeta, pisał niedawno słowa podzięki do jednego ze swych przyjaciół, wydawcy pisemka o hodowaniu niemowląt w pierwszych dniach życia. Co dla tych małych istotek zrobimy — mówi sędziwy poeta —to uczynimy dla dobra Francyi, gdyż to są przyszli obywatele kraju, nadzieja nasza i przyszłość cała. Nikt może tak dzieci nie ukochał jak Wiktor Hugo; dwoje wnucząt swoich otacza najczulszą opieką i na ich zawołanie gotów zawsze najpilniejszą robotę porzucić.

U nas coraz więcej uwaga jest zwrócona na tych przyszłych obywateli, ludziom jakby łuski z oczu opadły, widzą złe w takich rzeczach, na które by dawniej ramionami tylko ruszono. Wadliwość w urządzaniu szkół dopiero w ostatnich czasach została poruszoną. Szczupłość miejsca, niedostateczność świeżego powietrza, siedzenie na twardych bez oparcia ławkach, ciągle bez wypoczynku, natężenie uwagi i pochylenie nad książką; oto główne przyczyny słabego organizmu w drugim okresie dzieciństwa. Dość już dawno mowa tu jest o reformach, i niezadługo pewne uwzględnienia zostaną przeprowadzone.

Jeden z p. pedagogów ogłasza konkurs na wystawienie domu specyalnego dla zakładu naukowego w Warszawie, z uwzględnieniem wszelkich warunków hygienicznych. Oby wszelkie podobne projekta w czyn się prędko oblec mogły, a dzieci nasze, kwitnące zdrowiem, rozwijały się umysłowo i aby na nich sprawdzić się mogło przysłowie: „w zdrowem ciele—zdrowa dusza.

— Jeden z organów naszej prasy słuszną *po części* robi uwagę o zbytku panującym na pensyach naszych prywatnych.

Zakłady naukowe jedne nad drugie starają się prześcignąć i na wysoką skalę urządzić. Dziewczątka znajdują tam większe wygody, bogatsze otoczenie i ten ton pański, który w domach obywatelskich ich rodziców nie zaszczepił się jeszcze.

Przyzwyczajone do lepszego, z niechęcią wracają pod rodzinną strzechę, wszystko znajdując niesmacznem, niestosownem; razi ich skrzętna praca matki, trochę do szorstkiego obejścia przywykły ton mowy ojca, trudno im dla wyręczenia matki w gospodarstwie porzucić książkę i fortepian, do których przez kilka lat z rzędu były napędzane.

W takich przewróconych główkach sprzeczne tworzą się pojęcia; dziewczynce snadniej szorstką trochę ale poczciwą naturę wyśmiać, wyszydzić, niż poznać się na wartości rzeczywistej.

Że się tak dzieje, niestety, przyznajemy, ale że jest też kilka dawniejszych zakładów naukowych pod rozumnym kierunkiem przełożonych zostających, gdzie konieczny wzgląd na dobre ułożenie i nabieranie delikatności w obejściu połączono z praktycznem zapatrywaniem się na życie.

Znając bliżej jeden z podobnych zakładów, wtajemniczeni jesteśmy w wewnętrzne jego urządzenie i cały regulamin dzienny.

Dziewczynki systematycznie, a nawet z pewną chwalebną pedanteryą wdrażane są do porządku i do pracy.

Życie dostają nie wykwintne ale zdrowe i pożywne. Sypialnie odpowiadają wszystkim warunkom hygienicznym, czystość w nich wzorowa: we wszystkiem widać rozumną opiekę zacnej przełożonej.

Pisząc to nie mamy na celu reklamy dla zakładu, bo niepotrzebuje on tego; ale zaniepokojeni byliśmy wieściami, w ostatnich czasach pojawiającemi się w prasie, a które słusznie mogą zatrwożyć rodziców, że pensyonaty naukowe prywatne nie są dla dzieci ich odpowiednie, że wieje z nich duch nieładu, rozrzutności, zmateryalizowania.

Zapewniamy jednak interesowanych, że tak źle w ogóle się nie dzieje, bo jest wiele jeszcze dawno zasłużonych zakładów naukowych, które nie blagą i pochlebstwami, ale na naturalnej pracy byt swój gruntują, gdzie główki wychowanek wzbogacają się nauką, a serca kształcą wzniosłe pojęcia religijne, dając na przyszłą walkę z życiem zapas gruntownej wiary, tak niezbędnej w życiu kobiety. Zresztą nasze pensye żeńskie są to średnie zakłady naukowe, kształcące dziewczątka od lat 10—17. Przez przeciąg czasu 6-cio lub siedmioletni, bacząc na młode lata dziecka, nie powinny i nie mogą *bawić* się w nauki wyższe, jakie niestety, ze szkodą przedmiotów koniecznych z zakresu nauk elementarnych, niektóre pensye wprowadziły jako nowość u siebie.

Jak gimnazya męzkie są tylko wstępnym przybytkiem nauki, średnio kształcącym chłopca, który następnie dla nabycia szerszego zakresu wiedzy przechodzi na uniwersytet; tak również dziewczynka, gruntownych wiadomości elementarnych i nauki obcych języków (!?) nabyć powinna na pensyi, aby mogła łatwo przejść do seminaryum nauczycielskiego, lub t. p. wyższego zakładu, w rodzaju uniwersytetu dla kobiet, o założeniu którego jest mowa w wysokich sferach rządowych.

Niech tylko nasze prywatne pensye żeńskie trzymają się zakresu średniego wykształcenia, niech nie wprowadzają inowacyi kosztownych, narażających na bankructwa, ale kształcą nasze córki bez spaczenia ich pojęć; wtedy zdolniejsze, mające sposobność potemu, same potrafią wyżej się kształcić, w razie zaś doprowadzenia do skutku projektowanych seminaryi nauczycielskich żeńskich, dostatecznie będą przygotowane do dalszych studyi.

— Bardzo słusznie robi Zarząd szpitali, zamieniając posługaczy męzkich na żeńską służbę przy chorych. Łagodność, słodycz, cierpliwość są to wrodzone cechy charakteru kobiecego, i bezporównania lepiej wywiążą się ze swego zadania i ochronią od szorstkiego nieraz obejścia z posługaczami. A że znajomość pewna w obchodzeniu się z chorymi jest koniecznie potrzebną, urządzoną zostanie przy szpitalu ś-go Rocha praktyka dla kobiet chcących przyjąć na siebie trudny ten a szczytny obowiązek. Cieszy nas to bardzo, gdyż z tych praktykantek mogą być kiedyś wzorowe dozorczynie chorych, na wzór istniejących w Anglii, a potrzeba ich ogromnie.

Rodziny dotknięte chorobą któregoś z swych członków, nieraz są w prawdziwym kłopocie. Brak jest ręki, któraby niestrudzenie podawała lekarstwa, pielęgnowała w chorobie, a robiła to umiejętnie, nie pod grozą niepokoju i śmiertelnego strachu, jak to robią osoby blizkie chorego i często przesadzając swą troskliwość, więcej szkodzą niż pomagają. Ileżto razy zdrowie dziecka byłoby przywrócone, gdyby obok matki, pomimo całej boleści zmuszonej zająć się domem i gromadką zdrowej dziatwy, była taka pilna niestrudzona, umiejętna dozorczyni. W naszem społeczeństwie szczególnie projekt ten udać się powinien. Jest tyle osób pozbawionych rodziny, z życia wykolejonych, wdów i panien już niemłodych, pełnych jednak serca i poświęcenia. Zanadto zrażonych światem a może dotkniętych ciosami, aby mogły wieść dalej walkę z życiem i byt stworzyć niezależny. Istoty te ciche, pokorne, najczęściej na łasce krewnych często poniewierani od nich, jakże słodko uśmiechać się im będzie myśl ta, że uważane wszędzie jako zbyteczne, naraz staną się nieocenionemi i całą wdzięczność chorych zyskiwać będą.

Młodzi pracownicy, których jest tylu, sami rzuceni w świat, zdobywający naukę przebojem, jej trudy, opłacający.... wycieńczeniem i chorobą. Starzy kawalerowie bez rodziny, którym ręka życzliwa nigdy nie usłuży w niemocy, błogosławić będą odważne i poświęcające się istoty.

Gdyby jednak nie pozostało to tylko w dziedzinie projektów, jak tyle innych rzeczy dobrych i pożytecznych, a nie urzeczywistnionych.

— Zamiast pisać o karnawale, tańcach i zabawach, którym z całym szałem miasto nasze się oddaje, jakby z ironią — nawołujemy do spełnienia ciężkich obowiązków. Nie ironia to jednak, lecz głos obywatelski do tych Polek, co pokazały niejednokrotnie, że umieją porzucić... gałganki i blichtr lichy,—umieją stanąć na straży tradycyi i bronić swych ognisk domowych... od jadu zepsucia.

Dziś, wspaniała królowa salonów w aksamitach i złocie, jutro cicha kapłanka w progach domowych, jaśniejąca cnotami, z chęcią gotowa te świetności, któremi wczoraj jaśniała, złożyć na potrzeby ubóstwa. Nie uważamy za konieczne długich jeremiad prasy o marnotrawstwie grosza, o strojach, o zbytkach, o biedzie ogólnej. Kto *może*—niech się bawi gdy pora potemu. Zabawa możnych—to chleb ubogich. Tańczcie więc panie, korzystajcie z krótkich chwil uciechy, a po zrobionym obrachunku z sumieniem, z nastaniem dni pokuty, tem hojniejsze bądźcie dla nędzy, serca i datku nie żałujcie,—tak, jakeście nie żałowały na koronki, srebrne lamy i brylanty.

Bądźcie w zgodzie z sobą, z biednemi, i wiecznie nienasyconą... opinią publiczną!

M. R.

RODZICE I DZIECIĘ,

przez

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Są wprawdzie natury bogate, umiejące dźwigać na sobie brzemię najróżnorodniejszych obowiązków, umiejące nietylko spełnić z dokładnością różne, powszechnie obowiązujące zadania, ale nawet posunąć to dosyć daleko, może do heroizmu. Jednakże przymioty takie są właściwością niewielu dobrze uorganizowanych, albo, jeśli kto woli, z powodzeniem wychowanych umysłów. Zdarza się czasem spotkać człowieka, którego gotowi jesteśmy cenić zarówno jako dobrego patryotę, ojca, męża, przyjaciela, fachmana w danym zawodzie. Nieraz i po surowszej krytyce postępowania tego człowieka, wewnętrznie niejako zmuszeni jesteśmy oddać mu cześć pod powyższymi względami. Widocznie uznanie nasze opieramy na tej podstawie, iż wyższość człowieka zależy nietylko od duchowego bogactwa, ale także i od szczęśliwego podziału tychże bogactw na różne terytorya ludzkiej działalności.

Dodając więc i ten punkt widzenia do poglądu na sprawy ludzkie, uważamy za niewłaściwe wszelkie jednostronne zapatrywania się na obowiązki człowieka.

Zbyt grubo czy zbyt przesadnie ocenia się obowiązki rodziców, przyczem mniej chodzi o jakość, a nawet spoczywa na ilości; radzibyśmy, aby ojciec i matka spełniali przez całe życie obowiązki pedagogów, lekarzy, kapłanów, krawców, piastunek i t. p., przy swoich dzieciach. Chętnie zapisujemy tę przesadę na karb owej skwapliwości rodzaju ludzkiego, która występuje zawsze, ilekroć chodzi o rzeczy wyższej wagi. Jednakże nie zapomnijmy, iż przesada niezbędnie i zawsze jest błędem; błąd zaś wcześniej czy później spostrzeżony być musi a spostrzeżenie błędu powinno pociągnąć za sobą poprawienie go. Gdy się po drodze przesady brnie długi czas w błędach, wówczas pole błędnie uprawione zostaje zapuszczone i staje się ono dla nas nawet obojętne z czasem. Zanim takie przeżycie się w błędach nastąpi, kochamy tymczasem nasze błędy jako prawdy, pozostajemy w nich i wtedy, kiedy je reszta ludzi jako błędy zaznaczyła.

Mało w naszym wieku zostaje czasu na przydłuższe delektowanie się błędami, oraz oprawianie ich niejako klejnoty umysłowe w ramki poezyi *à la mode*. Zakres obowiązków rodzicielskich należałoby więc ściśle oznaczyć, mniej się uwodząc frazesowaniem.

Uprawa niektórych rodzicielskich przymiotów zapuściła korzenie swoje tak głęboko, że rozwodzenie się nad niemi, zawsze z jednej strony nie wydaje żadnego rezultatu. Tymczasem są strony zupełnie zaniedbane, wymagające niezbędnie reformy, tem bardziej, iż są ważnemi pod względem społecznym.

Nie wszystko mają rodzice oddać swoim dzieciom, bo chociaż oni dzieci oddają społeczeństwu i ludzkości, jednakże sami funkcyonują także, będąc członkami tych organizmów, z którymi związani są tak dobrze przez swój zawód jak przez rodzinę, a wreszcie i ogólnemi warunkami bytu.

Historya stawia nam nawet przykłady społeczeństw, gdzie życie rodzinne dosyć dalekiem było od naszej tkliwości pod tym względem, a jednak były to pełne życia i zdrowia organizacye. Czasy się zmieniły, więc trudno nastawać na wkroczenie w rodzinne ognisko wyższej temperatury uczuć; korzyść ztąd osiągnięta może być znaczna: przedewszystkiem zaś swobodnie rozwijająca się inteligencya tej młodzieży i nieodłączny od niej gatunek wyższej moralności, karności, która się organizuje wewnątrz moralnego organizmu.

Lecz, ażeby z rodziny wyszedł człowiek szczęśliwie zrównoważony, na to nie potrzeba znowu zupełnego oddania się dla niego rodziców. Dwa rodzaje niebezpieczeństwa widnieją na tem polu: raz gdy temperatura uczuć jest zawysoka, drugi raz, gdy jest zanizka. Zwłaszcza w pierwszym przypadku, tak zwane pieszczotliwe wychowanie, zdaje się stale wychowywać egoistów, niewieściuchów, pospolitości bezmózgie.

Każdemu maleństwu należy się naturalnie pieszczota, nietylko od rodziców, ale od starszyzny w ogóle. Im zaś dalej w lata, tem więcej powagi winno wstępować w stosunki między rodzicami, a dziećmi; musimy pragnąć dla wielu względów, ażeby dzieci stawały się prędzej ludźmi; wszakże rodzice nieraz tak wcześnie umierają.

Lecz nazywając dzieci ludźmi, nie mamy tu na myśli tych zepsutych żaków, co to na ludzi dojrzałych pozują. Dziecko poważnie przez ojca traktowane, bez przysiadania mu nieustannie na

kolanach i sypiania z nim, lub matką w łóżku, patrząc na domowe zajęcia, w których niekiedy udział samo bierze, spotykając naturalne obejście się rodziców z otoczeniem całem, nie może się żadną miarą urabiać na małego urwisa. Wcześnie rozpocznie ono być szczerze dobrem, uważnem i rozumnem.

Temperament dziecka żywy ma swoje prawa, więc go zbyt krępować nie można, ale nie pozwalać nigdy na bezsensowne gadaniny, lub na przewracanie wszystkiego do góry nogami.

Nie fukać, bić, krzyczeć, moralizować, ale trzeba umieć być zwięźle poważnym względem dzieci: samą obecnością, spojrzeniem, treściwem słowem.

Unikając przeto wszelkiej deklamacyi, stawiamy za pierwszy obowiązek rodzicielski *umiarkowanie uczuć*, powagę swobodnie i naturalnie płynącą, godność rzeczywistą, jaką się zawsze odznacza człowiek, który wszystko, co robi, usiłuje robić dobrze.

W katechizmie dla rodziców, ten punkt powinien być najpierwszym, gdyż jest on obszerny, jakkolwiek krótko-brzmiący; albowiem obejmuje podstawy szeroko pojętego charakteru, który zawsze polega na dobrem ustosunkowaniu uczuć. Zaznaczamy to wymaganie na czele, albowiem codzienna obserwacya uczy, iż u większości naszych rodziców jest ono najpilniejsze; zaznaczamy je jeszcze i dlatego, że taż sama większość rodziców chętnie robi znaczne wysiłki, aby dobrze wychować dzieci swoje a nie spostrzega tak zasadniczego błędu, do poprawienia którego jest się zupełnie uzdolnionym. Należy nieraz zwrócić tylko uwagę, aby postępowanie niewłaściwe porzuconem zostało.

Jako obowiązki rodzicielskie, nie kwalifikuje się do zaznaczenia materyalne utrzymanie dzieci; wszakże dopełniają tego całe łańcuchy organizmów znacznie niższych od człowieka.

Za tę cenę trudno komuś przyznawać tytuł opiekuna rodziny cywilizacyjnej. Jako obowiązki rodziców zmuszeni więc jesteśmy pojmować ten rodzaj wymagań, które stawiają jakiś program podniesienia w gatunku naszym skali szlachetnych przymiotów.

Taki program jest zarazem programem *wychowania*, danie którego dzieciom powinnoby być nie obowiązkiem moralnym, dobrowolnym, lecz powszechnem, obowiązującem prawem. Wielka ilość paragrafów w naszych kodeksach mogłaby się okazać zbyteczną po kilku generacyach starannie wychowanych ludzi. W każdej reformie społecznej, spowodowanej przez ogólniejszy prąd, rzeczą najwyższej baczności powinno być uregulowanie kwestyi wychowania. Są szczególne powody mniemać, iż sprawa ta przychodzi do rozbioru obecnie na porządek dzienny.

Dotychczas podporządkowywano ją jużto politycznym, już religijnym względem. Aż nadchodzą czasy, gdy wielkie myśli humanistów w nowożytną przywdziewają się szatę. Ludzkość bowiem dzisiejsza europejska mniej więcej gotowa jest powiedzieć z panem Reüchlinem: „Świętego Hieronima szanują jako anioła, Mikołaja z Lizy jako nauczyciela, ale prawdę czczą jak Boga."

I my też podziwiamy wymowę naszych teologów, ale cóż kiedy to wszystko nic nam nie daje. Jedno tylko jak najwyraźniej świeci: *trzeba zupełnie prywatnie pracować*. Trzeba sobie powiedzieć z innym znowu humanistą, Erazmem Roterdamskim: „Najważniejszem wychowaniem, podstawą wszelkiego wychowania tak chłopców jak i dziewcząt są zasady edukacyi domowej."

Zaznaczyliśmy wstęp do tej edukacyi, według czego rodzice nie powinni ani posuwać rygoru zbyt daleko, ani zaniechać go najzupełniej. Odkąd świat światem jest i dopóki będzie, zawsze system nagród i kar będzie miał swoje znaczenie. Bez tych pobudek zewnętrznych nie wytworzy się żaden świat wewnętrzny w umysłowości człowieka. Tylko bezwzględność oraz jednostronna krańcowość może być szkodliwą. Punkta wyjścia dla wychowywania dzieci musimy szukać w samych dzieciach i w sobie, a nie w przywidzeniach ideologów. I według tego to musimy skorzystać ze wszystkich uczuć dziecięcej duszy. Ani gniew, ani strach, ani nadzieja, nie są tu naprożno. Uczuciami należy mądrze kierować, utrzymywać je w proporcyonalnym rozdziale, aby zamiast człowieka nie wychować gołębia, lub tygrysa. Szczególniej ten obowiązek ciąży na rodzicach i ten jest w ich możności po największej części. Wychowaniem w człowieku zdrowego, a nawet, jeśli można, pięknego zwierzęcia, wychowaniem ciała powinien kierować, o ile się da, lekarz. Jest to jedyna kompetencya, mogąca decydować o warunkach cielesnego bytu, we wszystkich jego funkcyach.

Nie sądzimy, aby tylko chore dziecko potrzebowało lekarza; utrzymanie normalnego zdrowia jest równie ważnem, jak przywracanie równowagi zachwianej przez chorobę. Trudno, żyjemy w wieku, który nas obarcza ciężką pracą, który rujnuje i oszpeca fizyczny organizm.

Rady ciotek, babek nie pomogą wcale tam, gdzie sama umiejętność nieraz nie jest w stanie decydować. Że rodzice nie poskąpią dla dzieci zdrowego pożywienia oraz dobrej odzieży i odpowiednich warunków innych, dotyczących fizyczności, tego jesteśmy zupełnie pewni, chyba już możność najzupełniej nie pozwala. Nieświadomość sama mogłaby ich popychać na złe tory i dla tego przybieramy w pomoc światłą radę higienisty.

Na samą nędzę tylko nie mamy ratunku i rozprawiać o usunięciu jej nie jest też zresztą w naszej mocności. Dobre wychowanie człowieka musi przypuścić pewien stopień społecznego dobrobytu. Jeśli tego nie ma, tam o to przedewszystkiem postarać się należy; później już bowiem ekonomiczna praca znajduje w pedagogice olbrzymiego sprzymierzeńca.

(d. c. n.)

Gawędy botaniczne.

Przez

WINCENTEGO NIEWIADOMSKIEGO.

(Dokończenie Roz. 1-go).

Roślina tak sumiennie spełnia ten obowiązek, że pomimo potoków kwasu węglanego, spływających codziennie w atmosferę, i to od niezliczonych wieków, gaz ten utrzymuje się tylko w niezmiernie małej ilości w powietrzu i stosunek jego nie przenosi w niej pięcio-dziesięciotysięcznej części.

Uspokójcie się więc, lube czytelniczki. Zasób powietrza zdatnego do oddychania, jest tak bogatym, że potrzebaby upłynień wielu tysięcy lat, aby oddychanie w nich ludzi i wszech zwierząt żyjących, zdołało w sposób dający się uczuć, zmienić skład normalny powietrza atmosferycznego. Równowaga w tej mierze pozostaje niewzruszona; — kwas węglany wyziewany przez ludzi i zwierzęta, ostatecznie pochłaniają rośliny. Królestwo flory nie poprzestaje jedynie na dostarczaniu nam życiodawczego tlenu, tuż obok tego obdarza nas pożywieniem. Rośliny przysposabiają nam potrawy,—bez nich nie moglibyśmy istnieć na ziemi.

Nie zapomniałyście zapewne, panie, że węglem, wodą i powietrzem, *muszą się* żywić wszystkie jestestwa ziemskie. Wszelako wszystko zależy od przyrządzenia, a w szczególności pokarmy, jakiemi się karmimy. Posilacie się, panie, chętnie węglem, dla tego, że przyjmujecie go pod postacią smacznego mięsa, wykwintnych legumin i wybornych owoców.

Otóż w sprawie przyrządzania węgla w taki sposób, aby był ponętnym pokarmem,—niepospolitą mistrzynią jest—roślina. Spożywa ona węgiel w stanie naturalnym, kanałami swych korzeni, porami liści—jak to później zobaczymy—wciąga go, wsysa, pochłania, — poczem przerabia w swą tkankę lub w mączkę.

Zwierzęta spożywają w ten sposób przerobiony węgiel, pożerając rośliny, a my z kolei tenże węgiel spożywamy, tak w pokarmach roślinnych jak i zwierzęcych.

W królestwie więc roślinnym mieści się rozległa pracownia życia organicznego;—olbrzymia kuchnia dla wszech jestestw. W niejto, kosztem ziemi i atmosfery tworzą się wszystkie pierwotne elementy pożywienia. Z roślin, elementy te przechodzą do żołądka zwierząt roślinożerczych, w których część ich niszczeje, a pozostała część wchodzi w skład ich tkanki. Ze wierząt roślinożernych, przechodzą one do żołądka zwierząt mięsożernych, które z kolei zachowując ich część, odpowiednio do swej potrzeby, w chwili śmierci zwracają je ziemi i atmosferze. W ten sposób zachodzą nieustanne przeistoczenia w życiu, którego każdy element ulega przerozmaitym transformacyom, wracając ostatecznie do punktu z którego się począł.

. . . .

. . . .

Streśćmy to, co powiedzieliśmy wyżej.

Węgiel istnieje wszędzie;—przyjmuje tysiączne postacie, a między innemi, tworzy w połączeniu z tlenem, zabójczy kwas *węglowy.*

Wodór, gaz płonący w przyrządach posługujących do oświetlania, zapełnia balony szybujące w przestworzu, gdyż jest czternaście razy lżejszym od powietrza.

Tlen życiodawczy zapełnia kulę ziemską w olbrzymiej ilości. Na wyżynach górskich tworzy piątą część objętości atmosfery, w topielach oceanu. Stanowi odnośnie do wagi powietrza, około ośm dziewiątych.

Azot, gaz obojętny, niezdatny do oddychania, powstrzymuje zbyt żywe działanie tlenu.

. . . .

. . . .

Dla uzupełnienia całości, wypada wymienić inne jeszcze pierwiastki przyrody:

Siarkę, żółtą, czerwoną, nie mającą żadnego smaku, znacie zapewne czytelniczki, jak niemniej *fosfor* istniejący prawie we wszystkich zapałkach. Jestto ciało miękkie, żółtawe, przezroczyste, chciwie chłonące tlen; innemi słowy, zapalające się z największą łatwością, płonące nawet pod wodą i błyszczące w ciemności. Do najużyteczniejszych pierwiastków należy też: żelazo, miedź, cynk, chlor, wreszcie—srebro i złoto.

Po tych szacownych elementach wyszczególnić winniśmy ich koligacye, odgrywające w naturze niepospolicie ważną rolę. Do takich należy: *amoniak* złożony z wodoru i azotu, — *potaż*, *wapno*, *soda*, *magnezya*, wreszcie *glinka*, która krystalizując, tworzy odpowiednio do barwy, rubiny, szafiry, szmaragdy, topazy, czyli: cztery kamienie reprezentujące kolory: czerwony, błękitny, zielony i żółty. Obok nich pomieścić winniśmy *krzemionkę*, ciało twarde, istniejące w wielkiej obfitości w przyrodzie, pod najrozmaitszemi postaciami, jako to: krzemienia, żwiru, kwarcu, piasku, kryształu górskiego, kornalinu, agatu, opalu, onyksu, jaspisu, i wielu innych kamieni.

Znacie, panie, potrosze wszystkie te ciała, z których, z nieskończonych kombinacyj, tworzy się cały świat roślinny.

Węgiel, wodór, tlen, azot, a poza niemi siarka i fosfor: oto sześć pierwiastków,—wielka klawiatura w grze życia organicznego.

Wypada nam teraz poznać się nieco bliżej z tem *życiem*, z tym wielkim artystą, a wtedy może, lube czytelniczki, zgodzicie się ze mną na to, że nauka jest jedną z najponętniejszych historyj.

(d. c. n.)

Nowości belletrystyki Niemieckiej.

Cykl powieści Freytaga. — Cesarz, Ebersa. — Pendent do tego ostatniego. — Powinowactwo z wyboru i inne mniej wybitne powieści ostatnich czasów. — Wspomnienia z życia Henryka Heine.

Ostatnie miesiące ubiegłego roku zapisały się w dziejach belletrystyki niemieckiej, nie małem ożywieniem, a co ważniejsza—kilku kreacyami wielkiego znaczenia.

Na pierwszym tychże planie należy nam położyć szósty i ostatni tom wielkiego cyklu historycznych powieści Gustawa Freytaga, poczętego przed 6 już laty. Autor to, dla nas Polaków niesympatyczny, bo nie sympatyzujący z nami, niemniej przecież, człowiek wielkiego talentu. „Przodkowie" (Die Ahnen), taki jest tytuł tego zbioru, stawiają nam z kolei przed oczy społeczność germańską w różnych fazach jej rozwoju. Na tle tego historycznego obrazu kreślone są dzieje jednej rodziny, której praszczurami Ingo, Ingabran i Iwo, bohaterowie pierwszych tomów, sięgających zamierzchłej przeszłości. Bohaterem ostatniego tomu, noszącego tytuł „Z małego miasteczka," jest pod imieniem d-ra Ernesta König, występujący ojciec autora, w końcu zaś tegoż tomu zapoznaje nas autor pod imieniem Wiktora z sobą samym. Opowiadanie poczyna się z rokiem 1805, w którym zastajemy Ernesta König, lekarza, w małem szląskiem miasteczku powiatowem (prawdopodobnie Kluczborgu, rodzinnem mieście Freytaga). W ciche to ustronie dochodzi orkan wojny, zaznaczający się tutaj jeszcze i osobistemi bohaterów klęskami. I dzieje też tych bohaterów ściśle splątane są z dziejami francuzkiego najścia, ztąd mamy w tej powieści obraz politycznych zdarzeń tej tak burzliwej epoki.

Obok rzeczonego dzieła Freytaga, najwięcej interesu w ukształconych czytelnikach budzi nowy romans Ebersa: „Cesarz." Tom nie jest całością, acz sam w sobie, stanowić może całość, jest to również tylko ostatni tom dziejów starego Egiptu, ubranych w powieściową szatę. Jerzy Ebers po nad wszystko, jest historykiem. Prawda, że historyk ten posiada siłę powołania do życia zamarłej przeszłości, prawda, że obrazy, które nam dał w „Córce króla egipskiego," w „Homo sum," „Cesarze" i innych żyją ówczesnem życiem i wtajemniczają czytelnika w szczegóły owego życia, niemniej przecież romansem w ścisłem, w artystycznem znaczeniu tego wyrazu, żaden z nich nie jest, najmniej zaś nie jest nim — „Cesarz." To też krytyka niemiecka wbrew sądowi publiczności, unoszącej się nad ostatnim utworem Ebersa, robi mu wielce poważne zarzuty. Na czele surowej tej krytyki, stoi znakomity redaktor „Miesięcznika Westermanna" Spielhagen, ten par excellence mistrz psychologicznego rozbioru i artystycznego wykończenia. Przeciwnicy Ebersa zarzucają mu, i słusznie, że bohater jego, a jest nim Hadrian, jakim staje na początku opowiadania takim z niego wychodzi. Przedmiotem powieści jest przedewszystkiem studyum natury ludzkiej, jej kształtowanie się, ścieranie z zewnętrznym światem, urabianie i wytwarzanie, wreszcie konflikt, w jakim stawiają ją zdarzenie z jednej, wewnętrzne prądy z drugiej strony. Nic z tego nie ma w Hadryanie. To też estetycy nie chcą w nim uznać dzieła sztuki, a pono i historycy uczeni ginewają się za to odstępstwo od surowej szaty dziejowej. Nie brak wszakże w rzędzie krytyków niemieckich i wielbicieli lipskiego profesora, wszyscy jednakże zgadzają się na to, co jak sądzę, nie wychodzi na pochwałę romanso-pisarza, że „Cesarz" nie należy do rzędu utworów „łatwo się czytających," że przeciwnie „studyować" go potrzeba.

Rzymski Cezar przybywa z swym ulubieńcem, pięknym Antinousem do Aleksandryi, dokąd też dąży małżonka jego Sabina z licznym dworu orszakiem. Z rozkazu prefekta urządzają pałac Ptolemeuszów na rezydencyą cesarskiej pary. Dzieła tego dokonywa architekt Ponejusz z całym zastępem dodanych mu do pomocy artystów. Wśród nich jest rzeźbiarz Pollux, również jeden z bohaterów romansu. Grupę głównych osobistości, stojących na przednim romansu planie stanowią: zarządzca pałacu, Keraunus, zubożały patrycyusz, dwie jego piękne córki Zelina i Arsinoe, rzymska poetka Balbilla, zjawiające się z cesarzową w Aleksandryi: wszystko to otacza głównego bohatera Hadryana. Opowiadać to cały przebieg powieści byłoby zbyt długiem, tem mniej potrzebnem, że wkrótce, nowo założony w Warszawie przez Ungra Tygodnik powieściowy, zapozna z nią polskich czytelników. Podnieść możem tu tylko pojedyńcze, wysokiej artystycznej wartości sceny, wpośród których, kulminacyjnym punktem jest pożar cesarskiego pałacu.

Trochę obszerniej za to pozwolim sobie pomówić o utworze, stanowiącym pendant do „Cesarza" Ebersa. Jest nim „Antinous" Jerzego Taylor. Pod pseudonimem tym, jak wieść niesie, kryje się jeden ze sławnych angielskich historyków, który już dawniej drobniejszemi pracami ogłaszanemi w znamienitszych czasopismach debiutował w niemieckiej literaturze. Treścią przenosi nas „Antinous" w tenże sam świat, który dopiero co opuściliśmy w „Cesarzu" Ebersa, nawet do tego i samego Egiptu w części, i maluje dzieje nieszczęśliwego młodzieńca, onego pięknego i jako prototyp piękności uważanego ulubieńca cesarza Hadriana.

Jakkolwiek po tylekroć uwieczniony wsztuce— po muzeach rzymskich z żadnem niemal popiersiem nie spotykamy się tak często jak z owym skończenie pięknym, atletycznej budowy młodzieńcem o smutnie a tęsknie opuszczonej na piersi głowie, z delikatną dziewczęcą twarzą i bolesnym wkoło ust rysem, w której wedle zdania Winkelmanna leży coś prawdziwie pięknego — jakkolwiek po tylekroć więc zaklęła go nam w marmur sztuka, historya nie wiele więcej wie o nim nad imię a o tragicznej jego, dobrowolnej w nurtach Nilu śmierci, zaledwie ciemne jakieś daje nam wskazówki. To też poetycznej fantazyi szerokie otwiera się tu pole, a autor wymienionego romansu, wedle naszego mniemania, mistrzowsko rozwiązał założone sobie z góry zadanie: „wykazania, jak zdrowa natura marnieje i ginie, żyjąc w ścisłym stosunku z naturą chorą, skrzywioną." Historyczne tło opowiadania stanowi z jednej strony życie Hadryana w swej willi w Tiburze i zmurszałe stosunki ówczesnego Rzymu, zwiastujące już groźny świata władnego państwa upadek; z drugiej strony życie i działalność chrześcian tych czasów, przedstawione wysoce zajmująco i przeświecone często subtelnym humorem, acz zgodne zawsze z historyczną prawdą. Zręcznie tu i owdzie wplecione, najczęściej obleczone w formę dyalogu, filozoficzno-religijne uwagi i rozmyślania, do których nie brak sposobności — bo na scenę występują tu przedstawiciele trzech głównych podówczas religii rzymsko-greckiej, egipskiej i nowo-powstającego chrystyanizmu — kryją nieraz głębokie myśli bez frazeologii, acz nie zawsze są jednostronnem a bezgranicznem chrystyanizmu uwielbieniem.

Zaletą powieści tej jest obok innych jeszcze styl prosty niewyszukany, zawsze przecież jednakowo szlachetny, zawsze odpowiadający w zupełności treści, a kilkakrotnie, gdzie tego wymagała sytuacya, wznoszący się do prawdziwie poetycznych wyżyn i artystycznego polotu. Liczne, występujące w „Antinousie" osoby, nawet drugorzędnego znaczenia, zarysowane są wyraźnemi, indywidualnemi rysami plastycznie; charaktery to wyraziste a określone pewną ręką z całem bogactwem szczegółów. Historyczna powieści barwa w ogólności, jak w szczegółach, daje czytelnikowi przeświadczenie o swojej wierności; ponieważ nie wdaje się w bezpotrzebną drobiazgowość, noszącą na sobie najczęściej cechę czegoś wymyślonego. Historyczne tło to nie odstaje bynajmniej od opowiadania, ale jest z niem organicznie a artystycznie zrosłe. Wstrzemięźliwość ta jednak, to niepopisywanie się obfitością nagromadzonego do tła materyału, dowodzi nam prawdziwego mistrzostwa autora. Mimowolnie zda się czytelnikowi, że go do Tyburu i do Hadryana wprowadza ktoś, który z starożytnym światem sztuki najdokładniej jest obznajmionym i dziwnie przyjemnem jest ukształconemu czytelnikowi, że nie trafił na gadatliwego cycerona, jak to często przy manii obecnej historycznych romansów już mu się zdarzyło.

Obok tych trzech, najwięcej czytającą niemiecką publiczność zajmujących powieści, mieści się jeszcze sporo innych mniejszych lub mniejszego znaczenia. Na czele tych należy położyć Salingera „Powinowactwo z wyboru" tytułem zapożyczoną od Goethego a wysoce tragiczną, psychologiczną i świetnie obrobioną nowellę. Obok niej „Pytanie" Ebersa, autora „Cesarza," który po raz pierwszy zdecydował się rzucić coś w szpalty wszystko pochłaniającej literatury peryodycznej. Tłem tu Wschód. Niby mały brylancik czystej wody świeci nowelka drobna Pawła Heyse z klasycznych czasów miłości, z czasów Trubadurów i na ich rozgrywająca się ziemi.

Rozmiarami większą jest powieść dramatycznego przedewszystkiem autora Wilbrandta, p. t. „Mistrz Amor." Treść jej zapożyczona również po trochu z Goethego, co jej bynajmniej nie stawiamy jako zarzut. Dziewczę młodziuteńkie, kształci się na aktorkę pod okiem opiekuna, dawnego, uzdolnionego i pojmującego sztukę artystę. Wychowanica jest bezwarunkowo utalentowaną, a w 17 roku zdołała już w zupełności zdobyć doskonałą technikę, co wszakże nie przeszkadza, że wystąpiwszy w Julii Shakespearowskiej na scenie jednego z wielkomiejskich teatrów, robi kompletne fiasco. — Wtedy lituje się nad nią mistrz Amor i ratuje od zamierzonego samobójstwa, zażegając w jej duszy ów ogień, w którym Romeo i Julia śmierć znaleźli. Teraz dopiero aktorka staje się istotną artystką i w chwili, gdy nam ją przychodzi pożegnać, imię jej wypływa jako „pierwszorzędna gwiazda na niebie teatralnego świata," mówiąc stylem teatralnych feiletonistów. Myśl powiastki wcale nie nowa i nie grzesząca oryginalnością. Główna wartość natomiast polega na charakterach dobrze zarysowanych i niezmiernem życiu, oraz barwności opowiadania. Łączy ona zdrowy realizm z rzeczywistą poezyą serca.

Do publikacyi wybitniejszych należy zbiorek nowel Franzosa, zatytułowany „Stille Geschichten." Pan Franzos na ten raz rzucił świat uciemiężonych żydów i ich ciemiężycieli „półazyatów" i wyszedł na tem dobrze, bo bezstronna niemiecka krytyka w tym zbiorku, po raz pierwszy ze zdumieniem zaznacza odkrycie w panu Franzosie poezyi.

Wspomnieć też tu musimy o jednej książce acz nie w niemieckim wyszłej języku, ale dotyczącej niemieckiej literatury. Są nią ogłoszone po włosku „Wspomnienia z prywatnego życia Henryka Heina," napisane przez siostrzenicę zmarłego poety, księżnę Maryą della Rocca z domu Embden-Heine. Niemiecko-żydowscy sprawozdawcy gorszą się niezmiernie na intencyą zatarcia plebejuszowskiego pochodzenia i pierwotnego judaizmu poety, jawną w tych pamiętnikach. W ogóle pamiętniki te nie są bogatym do biografii znakomitego poety przyczynkiem: jest w nich dużo naciągań, dużo rzeczy nie nowych, sporo samochwalstwa i masa fałszów, wynikających z nieporozumień rodzinnych za życia poety, które dziś chcianoby zatuszować.

A. Callier.

Kobiety z czasów rewolucyi francuzkiej.

PANI COTTIN.

Sława jaką na polu literackiem pozostawiła po sobie pani Cottin, jest tak znaną, że nie uważam za stosowne przypominać ją czytelniczkom.

W siedemnastu latach wyszedłszy za mąż, w trzy lata później była już wdową i utrzymując się ze swego mająteczku, pisując, w kółku dobranem, żyła w Paryżu.

Były to czasy, w których rewolucya zachmurzyła cały horyzont francuzki. Danton, Robespierre, Marat, przelewali krew strumieniami, bawili się ludzkiemi głowami jak dzieci piłką.

Pewnego dnia pani Cottin otrzymała bilecik, przez umyślnego posłańca, tej treści:

„Nieznajomy prawie człowiek ośmiela się zanieść do Pani prośbę. Widywałem Panią czasami w towarzystwach, a więcej jeszcze słyszałem o nieograniczonej dobroci jej serca i dla tego, w mej ciężkiej potrzebie zwracam się do Pani.

„Jestem pomieszczony na liście proskrypcyjnej, muszę uciekać. Do wykonania planu mojej ucieczki, potrzeba mi 2150 franków. Miej Pani litość nademną. Nie

dla siebie żądam życia, ale dla dzieci moich."

„de Fondelle."

Ze ściśnionem sercem przeczytawszy ten jęk rozpaczy, szlachetna kobieta postanowiła za jakąbądź cenę dopomódz nieszczęśliwemu; gotówki nie miała, postanowiła jednak skończyć zaczęte swe dzieło pod tytułem „Claire d'Albe," sprzedać i dostać pieniędzy.

W tym celu posłańcowi kazała się zgłosić nazajutrz, sama zaś siadła do pracy. Zatopioną była właśnie w analizie serc ludzkich, które z taka znajomością studyować umiała, gdy wtem dano jej znać że w domu całym zarządzają rewizyę.

Wślad za wieścią weszli komisarze rewolucyjni. Bądź co bądź działać trzeba było zręcznie, list pana de Fondelle leżał na stoliku, trzeba było ratować siebie i jego. Z nieporównanym wdziękiem uprosiła komisarzy żeby nie rozrzucali jej papierów, a w zamian zato prosiła ich żeby zechcieli wysłuchać i osądzić świeżo skreśloną przez nią pracę.

Ujęci wdziękiem jej głosu, zasiedli koło niej i tak zatopieni w słuchaniu, przesiedzieli do rana. Zachwyceni wytwornym stylem opowiadania i szlachetnemi zawartemi w niem myślami, ze łzami w oczach uścisnęli rękę autorki, przyrzekając sobie kupić po egzemplarzu dzieła, jak tylko ukaże się w druku. O rewizyi naturalnie i mowy już nie było.

W parę godzin później znalazła autorka nakładcę i była w stanie ofiarować panu de Fondelle żądaną sumę.

W dwa tygodnie później szlachetna kobieta otrzymała wiadomość, że człowiek, któremu podała rękę pomocy, znajduje się w bezpiecznem miejscu.

Kobiety potrafią być aniołami gdy zechcą!

PANI de PERMONT.

Rzadko która kobieta zmuszoną jest przechodzić choć w części to, co przechodziła pani de Permont.

Znakomita ta dama, pochodząc z domu książąt de Comnène, jako prawnuczka cesarzów wschodnich, utrzymywała rozliczne stosunki, tak w arystokratycznym jak i demokratycznym świecie. Salon jej za czasów rewolucyi jaśniał dopóty, dopóki nareszcie konieczność schronienia się przed barbarzyństwem niewolników gilotyny, nie zmusiła ją do opuszczenia Paryża, razem z rodziną. Z córką swą, późniejszą generałową Junot, księżną d'Abrantès, podejmowała licznych gości, w liczbie których widniały osobistości takie jak Bonaparte, Salicetti i w ogóle wybitnych tej epoki.

Bonaparte znanym jej był od dziecka, Salicetti zaś zobowiązał ją sobie życzliwością, okazywaną zawsze dla jej rodziny. Przez czas błyszczenia tej gwiazdy, syn jej był sekretarzem Salicettiego, co gwarantowało znacznie bezpieczeństwo rodziny.

Jak wspomnieliśmy wyżej, Salicetti i Bonaparte bywali u pani de Permont. Uważamy za niewłaściwe przypominać, jak ci ludzie nienawidzili się nawzajem, nienawiść ta wszakże przybrała wkrótce rozmiary arcy poważne. Bonaparte rósł na olbrzyma, podczas gdy gwiazda Salicettiego poczynała gasnąć.

Przyszedł wkrótce dzień, w którym imię tego ostatniego, pomieszczonem zostało na liście proskrypcyonowanych; Salicetti musiał przedewszystkiem uciekać, a bramy Paryża były strzeżone, należało się skryć.

Czając się wieczorem pod murami domów, doszedł do mieszkania państwa de Permont. Dnia tego właśnie dawali oni obiad, na którym znajdowało się wiele znanych z owej opoki ludzi, a między nimi i główny jego nieprzyjaciel Bonaparte. Byli właśnie po zupie, gdy dano znać pani de Permont że ktoś chce się z nią widzieć. Jakby przeczuwając nieszczęście, z biciem serca wybiegła pani domu. W gabinecie blady, zmęczony stał Salicetti.

— Musisz pani zapewne wiedzieć o mojej obecnej pozycyi—wyszeptał—a jednak tak wierzę w zacność pani, że przychodzę błagać ją o schronienie.

Chwila była straszną. Decydować się trzeba było prędko, goście czekali. Lada chwila mógł kto nadejść; a jednak przeszedł czas pewien nim pani de Permont zdołała ochłonąć z przerażenia. Instynkt zachowawczy, mimowoli radził jej odrzucić błaganie; wszak chroniąc go, nie swoją tylko narażała głowę, a męża i dzieci swoich, wszakże szlachetność wzięła górę i drżąc, martwa cała ukryła go w kryjówce znajdującej się w ścianie około okna.

Ledwie zdołała to uczynić, gdy w bocznym pokoju rozległy się kroki i wbiegła do gabinetu córka.

— Mamo! goście czekają; lecz co to! Mamie słabo, może posłać po doktora?

W rzeczy samej pani de Permont prędzej do umarłej, niż do żywej podobną była osoby. Szybko uwiadomiła córkę o zaszłym fakcie i uróżowawszy się przed tualetą, dla pokrycia bladości, wziąwszy pierwszy z brzegu list do ręki z uśmiechem na ustach wybiegła do gości.

— Przepraszam!—śmiała się zdaleka,—lecz tak byłam zachwycona bażantami jakie mi przysłano w prezencie, iż napatrzyć im się nie mogłam. Ale to wyborna dla mnie sposobność zaproszenia panów na pojutrze na obiad. A wymawiać się nie można pod karą niełaski—dodała grożąc paluszkiem.

Śmiała się tak szczerze, tak uroczo, wesoło, że nikomu żadne podejrzenie przez głowę nawet nie przeszło i propozycya z entuzyazmem przyjętą została.

Dla Salicettiego trzeba się było wystarać o paszport. W tym celu przyjęto po długich poszukiwaniach służącego, podobnego do niego jak dwie krople wody.

Dla służącego wystarać się o paszport, wziąść go, a lokaja odprawić, sowicie mu zapłaciwszy, było dziełem paru dni zaledwie. W tych czasach wszakże poszukiwania zbiega, stały się powodem kilkukrotnych odwiedzin niespodzianych Bonapartego u pani de Permont. Orzeł zawsze się tu domyślał obecności sokoła.

Kobieta wszakże swemi zręcznemi i śmiałemi odpowiedziami tak potrafiła oczarować orła, iż ten zawsze po ucałowaniu rączki, z uśmiechem na ustach odchodził.

Nareszcie z paszportem w rękach wyjechała pani de Permont z rodziną i Salicettim na koźle, z Paryża. Byli już poza rogatkami z milę oddaleni, gdy nagle zostali przerażeni tententem doganiającego ich na koniu kuryera Bonapartego.

Napoleon przesyłał pani de Permont bilecik:

„Co myślę o sobie wypuszczając ptaszka z klatki, to mniejsza. Lecz wiem co myślę o pani, najszlachetniejszej, najzacniejszej, najlepszej kobiecie pod słońcem. Proszę, zostaw pani dla mnie choć kącik w twem sercu, w którym mógłbym się skryć w nieszczęściu, a teraz przyjm odemnie winne ci poważanie i zapewnienie, że o wszystkiem od początku samego wiedziałem."

„Bonaparte."

U powiek pani de Permont zajaśniała łza.

WIEŻA NA DAGÖ.

NOWELLA

A. JÓKAI'A,

przekład

A. CALLIER.

I.

Kiedy płynący z Stralsundu parowiec zbliża się do Fińskiej zatoki, zwraca na siebie uwagę podróżnych wysoko z nad powierzchni morza sterczący wierzchołek skały, który żeglarze ochrzcili nazwą „Wieży na Dagö." A jeśli niekiedy znajduje się wsród nich jaki bogaty anglik, kuszony manią zwiedzania wszystkiego i spyta kapitana okrętu: „co też kosztowaćby mogło obejrzenie owych zwalisk zbliska?" to niezawodnie otrzyma w mniej lub więcej grzeczne obleczoną słowa, ale zawsze zwięzłą odpowiedź: „nic, nad tę pomarszczoną skórę i twarde kości, które pod nią nosisz, Mylordzie."

Bo jeśli wieża na Dagö zdołała dotąd uniknąć pielgrzymki po wszystkich wystawach obrazów, zawdzięcza to swemu oporowi pozowania malarzom. Stanęła ona na najskrajniejszej kończynie skalistej wielkiej wyspy, położonej wpoprzek północnego prądu morza, które dokoła tej tamy ryje przepaści i pieni się bezdennemi wirami. W szerokim naokół promieniu zasiane tu jest dno morza niebezpiecznemi rafy, w pośród których niezgłębionego labiryntu, łodzie najzręczniejszych nawet rybaków narażone są na rozbicie.

A przecież widok wieży na Dagö, zasługuje na to, by dlań narazić się na przygody, zwłaszcza też, gdy rozszalała morska burza zechce użyczyć malowniczego tła do tego krajobrazu.

Krawędź owej kończyny: czerwono - brunatny złom skały, wynurza się nagle z ciemnych, zielonych nurtów, które smoczemi swemi głowy, uwieńczonemi w pian koronę, wiekuisty szturm przypuszczają do niej. Czasami olbrzymia fala skoczy aż na jej wierzchołek i wypłoszy całe mew i orłów stada, co obsiadły jej brzegi. Ze złomu tego skały, podnosi się sześcioboczna wieża, wysoka na pięćdziesiąt łokci. Dolna jej połowa jest budową Cyklopów z ciężkich, nieregularnie ociosywanych brył skały czerwonawo-brunatnego kamienia; górna część zbudowana z czerwonej cegły aż po gzyms wierzchołka, którego galeryę oplotła teraz rozrosła zieleń jałowcu. I kiedy wówczas zachodzące słońce z poza obłoków rzuci snop światła na zamarłego, tak samotnie stojącego olbrzyma, gdy tymczasem szare chmury niemal tykają jego głowy a u stóp jego, morze rozbija się i pieni brudno białą falą; gdy w jednem oknie budowli, w którem pozostały jeszcze niewybite szyby, odbije się purpura zachodzącego słońca, świecąc daleko, niby odblask morskiej latarni:—wówczas, rozpłomieniony olbrzym zda się jednookim Polyfemem, co sięga po bogów potęgę i grozi ludzkiemu plemieniu.

Albo, kiedy w zupełną ciszę pod niebem zbladłem od gorąca słonecznych promieni, owiana przezroczemi mgłami, wznosi się taka cicha, z wielkim, zdala widocznym półkolistym w pośrodku otworem, podobnym do ust skamieniałych wśród klątwy, zdaje się przyzywać żagle sunące po dalekim widnokręgu i wieść z huczącem morzem rozhowory; kiedy następnie w czasie odpływu daleko dokoła niej ukryci jej towarzysze: złomy skał, wynurzą się z nurtów, a pośród nich nawpół zaryte w piasku sterczą połamane maszty statków, porosłe morskim chwastem i muszlami, pordzewiałe kotwice okrętów i dział paszcze; kiedy tu i owdzie zaświeci czaszka, okryta jeszcze szyszakiem, szkielet zbrojny jeszcze stalowym pancerzem, i wszystkie te resztki rozbitych okrętów, z czytelnemi jeszcze napisami; gdy wywrócony tram jakiegoś statku, którego miedziane okucie, chwilami wynurzające się z fal, zieloną pokryło się już śniedzią, a wszędy raki morskie,

władzcy przepaści, co pełzają po tych wszystkich gruzach... wówczas widz, któremu to straszliwe życie w ciszy trwogą ścisnęło piersi, pyta sam siebie: kto mógł być tak szalonym, by ową wieżę zbudować w tem miejscu i co to byli za szaleńcy, którzy na to chyba zwracali tu swe statki, by je rozbić na podwodnych skałach!? I jaki los związał ową ponurą budowę z temi gruzami rozsypanemi dokoła?...

II.

Niejaki baron „von Ungern“ z Brandeburgii przybył jeszcze za czasów Katarzyny II-ej na dwór rossyjski do Petersburga. Z rodu już miał nieco krwi wendyjskiej w swych żyłach, tu jeszcze zaślubił córkę rossyjskiego bojara, która mu wniosła w wianie obszerne nad Donem włości. Obaj synowie jego zostali przeto najzupełniejszemi Rosyanami na przekór niemieckiemu swemu nazwisku. Starszy Fieodor był oficerem marynarki i rzeczywistym postrachem wszystkich szwedzkich portów i kupieckich okrętów; młodszy Zenon był również żeglarzem, ale tylko u dworu, gdzie to, jak wiadomo, sztuka zręcznego lawirowania jest niezbędnie potrzebną. A hrabia Zenon wielce szczęśliwy był w tem lawirowaniu, zwłaszcza też w gronie kobiet. Sława starszego brata i jemu użyczała blasku. Fieodor jak najchętniej odstępował bratu wszystkie dworskiego życia rozkosze i honory. „Niech je sobie zdobywa tańcem!“ Jemu szalejące burzą morze i szalone odwagą walki, były najwyższą rozkoszą — a gdy burze i walki ucichły: spokój domowego zacisza — mały zameczek wpośród prastarych lasów, życie we dwoje z kobietą cudownie piękną, a potem we troje, gdy przyszła na świat miluchna dziecina. Ten chłopczyk, Aleksander, miał już cztery lata a ojciec nie mniej był dumny z domowego swego szczęścia, jak z pozyskanych wawrzynów. Fieodor wówczas właśnie dokonał jednego z najświetniejszych zamachów na Szwedów. W burzę, nocą napadł znienacka na wyprawioną flotę pod Karlskroną i spalił znaczną część okrętów. Po drodze pochwycił jeszcze kilka kupieckich okrętów, co uciec chciały z morza płomieni, splądrował co w nich było cennego, a następnie zatopił; łupem jego stał się nawet trzydziesto-pięcio funtowy dzwon, który wieziono z Hamburga ku ozdobieniu Kalmarskiej katedry. Powracał bez strat z zdobyczą i sławą napowrót do Kronstadtu.

Zaledwie tam przybywszy, uważał sobie za najpierwszy obowiązek zdać sprawę przed admirałem co zaszło. Nadbrzeża Kronstadtu podówczas pokrywała ogromna moc małych baraków, w których mieszkali robotnicy pracujący przy porcie. Kiedy kapitan z łodzi na ląd wyskoczył, naprzeciw niego wyszła z jednej z chat owych dziewczyna, która jak się zdaje musiała tam na niego już czatować. Pospiesznie dobiegła do niego, pochwyciła jego rękę z czcią ją całując. Była to ładna, młoda dziewczyna w malowniczym stroju wieśniaczek. Żeglarz, poznał ją natychmiast.

— A! Maszi! Mamka mego syna! Zkądże tyś się tu wzięła? Powiedz!

Dziewczyna położyła na ustach palec i trwożnie obejrzała się dokoła, a dopiero gdy się przekonała, że ich nikt nie podsłuchuje, poczęła mówić:

— Ostrożnie tylko, panie. Zasłoń nieco twarz płaszczem, bo skoro cię poznają, pochwycą natychmiast.

— Mnie pochwycą? Waryatko! Kto, i po co miałby mnie chwytać?

— Po co? byś panie kuł ołów w kopalniach Uralu. Jesteś banitą.

— Co ty pleciesz? Czemże ja zawiniłem?

— To będziesz już wiedział pewnie. Zeszłej zimy podejmowałeś, panie, w twym zamku jakiegoś obcego gościa.

— Ależ to był dobry mój znajomy, towarzysz broni z dawnych dobrych czasów.

— Być może. Ale powiadają, że to miał być spiskowiec.

— Cóż mnie to obchodzi? Jam o tem nic nie wiedział. Do mnie on przybył polować na niedźwiedzie; po skończonem polowaniu pojechał dalej. Natychmiast udam się na dwór i powiem to wszystko, wytłómaczę.

— O! nie idź tam panie, bo masz tam zbyt potężnego wroga, którego jedynie przejednać możesz twą śmiercią.

— Któż to być może?

— Brat twój.

— Co? Mój brat, którego tak bardzo kochałem, żem mu oddał majorat, ufundowany przez mego ojca wraz z hrabiowskim do ziemi przywiązanym tytułem; dla siebie z tego wszystkiego zachowałem najmniej.

— Ale jemu i tego najmniej było potrzeba. Teraz zapragnął już i twego zameczku wśród lasów i nawet tej żeglarskiej świstawki, którą nosisz na piersi. Już je otrzymał nawet.

— Ha! trudno! Całe życie był nędznikiem. Nie dziwię się. Ale cóż mógł wiedzieć o owym moim gościu?

— Wie tyle, że odjeżdżając zostawił ów obcy u ciebie, panie, torebkę skórzaną, w której miały się mieścić niebezpieczne jakieś papiery.

— Ależ ja ową torebkę oddałem do schowania mojej żonie, dopóki właściciel po nią się nie zgłosi. Poleciłem by jej nie oddawała nikomu innemu.

— A żona twoja, panie, oddała ją twemu bratu. Za to następnie cię skazano.

— Moja żona!

— Była niegdyś twoją żoną, teraz jest żoną twego brata. Kto na całe życie skazany zostaje do kopalń Uralu, tego żona jest tem samem już z nim rozwiedzioną; wolno jej natychmiast w ponowne wstępować związki. Tak to jest już, panie, nieinaczej. Za długo byłeś poza domem, a kobiety pragną kochać.

— Przecież miała syna! Nie wystarczałoż jej to do miłości? Takie dziecko! Cóż się stało z moim synem?

— Toż wiesz, panie, jaki jest zwyczaj. Jeśli ojciec jest skazanym, wygnanie dotyka i syna. I aby nie zdołał czasem powrócić, wypalono mu na ramieniu piętno.

Słowa zamarły na ustach kapitana.

Pochwycił oburącz silnemi swemi dłońmi za ramiona dziewczynę i wpatrzył się bystro w jej oczy. Wiara ludu utrzymuje, że czasami szatan wstępuje w źrenicę człowieka i ztamtąd ludzi nieszczęśliwego najzwodniejszemi obrazami, tak, że ten zdoła opowiadać o nich jak o prawdziwych wydarzeniach. Wówczas—jak powiada lud rosyjski— trzeba tylko, by człowiek rzeczywiście odważny i prawy nie uląkł się szatana i pochwyciwszy silnie za ramiona opętanego, spojrzał mu śmiało w oczy, dopóki w nich nie dojrzy demona; wówczas czar ustępuje. Kapitanowi przyszło to na myśl.

— Tak, ja sama tak myślę, to być może — wymówiła dziewczyna spokojnie, ocierając fartuchem oczy.— Już to kilka razy myślałam sobie, czy wszystko co widzę i słyszę, nie jest marą szatańską. Może to ja tylko widzę. Bógby dał, aby tak było. Całe życie moje, panie, błogosławiłabym cię, żeś mnie z tego uleczył. Proszę cię więc teraz, panie, wejdź w te drzwi, a jeśli obejrzawszy się nic tam nie dostrzeżesz, to wszystko widocznie chyba szatańskie mamidła.

Fieodor wszedł do zapadającego się baraku i znalazł w nim na wiązce zgniłej słomy leżące swe dziecię. Koszulka osunęła mu się z jednego ramienia, odkrywając zaognioną ranę, wypalonego na niem piętna.

Żeglarz padł twarzą na ziemię obok dziecka; objął uściskiem wątłą jego postać, ale nie krzyknął, nie zapłakał nawet.

— A więc i ciebie teraz, panie mój, tumani szatan, że widzisz nieistniejące rzeczy.

Dziecię nie skarżyło się, dreszcz febryczny tylko wstrząsał jego ciałkiem; trwoga, ból i febra działały tu równocześnie. Ojciec okrył je swym płaszczem i wziął na ręce.

— Wysłuchajcie więc reszty, panie. Własnemu pańskiemu rządcy dano polecenie odwiezienia twych skarbów, zamkniętych w wielką żelazną skrzynię i dziecka do Carskiego-Sioła. Brat wasz i żona byli już w Petersburgu. Skarby miały być podzielone między nie wiem jakich panów; żona przypadała w udziale denuncyanta, dziecko zaś kazano przywieść, by je potem wraz z nami, panie, wysłać za Ural. Dziecko płakało bardzo za mną, więc pozwolono, bym i ja z niem razem siadła do powozu. Ale płakało przez całą drogę; rana z wypalenia bolała biedactwo. Wówczas rządca znieść nie mogąc ciągłego tego płaczu, kazał mi wysiąść z powozu, narwać maków i ugotować dziecku: od tego uśnie niezawodnie. Narwałam też dużo tego maku, ugotowałam z niego na pierwszym popasie mocnego napoju, ale nie dałam go dziecku, tylko wlałam do wódki, którą pili rządca, woźnica i eskortujący powóz kozacy. Od tego posnęli wszyscy. Wówczas zabrałam rządcy klucze od żelaznej skrzyni z woreczka, wyrzuciłam go z powózki, po nim woźnicę, potem sama wzięłam za lejce i popędziłam. Ale kozacy wytrzeźwieni pogonili za mną; kiedy już widziałam, że mogą dogonić mnie niezadługo, otworzyłam żelazną skrzynię i pełnemi rękami zaczerpnąwszy z niej złota i srebra rzuciłam na drogę. Tego oni tam nie pozostawią pewnie. A nim zsiądą z koni, nim pozbierają wszystko, ja już będę daleko. I tak się też stało. Gdym jednak dostała się do lasu, koń mi zakulał nagle, zobaczyłam że nie mogę ocalić obojga razem: skarbów i dziecka. Jedno trzeba oddać im na pastwę. — „Chodź ukochany, powiedziałam do dziecka, obejmij mnie za szyję, uciekniemy.“ Wyskoczyłam z powózki, zostawiając powóz z końmi na drodze a sama puściłam się z dzieckiem w gęstwinę lasu. Kozacy ścigali powóz, dognali go też niezawodnie wraz z wszystkiemi skarbami; ale ja przez lasy, przez bagna przeniosłam dziecko tutaj, gdziem wiedziała, że na ląd wysiędziesz, panie. Nieprawdaż, że nie gniewacie się, panie, na mnie, żem przyniosła dziecko, zamiast wszystkiego złota?...

Jeszcze ani jedna łza nie padła ze źrenic zahartowanego w trudach żeglarza: nieruchomie wlepił tylko płonące oczy w piętno wypalone na ramieniu syna. Naraz, gdy dziewczyna ukończyła swe opowiadanie, gorący strumień zalał oczy ojca. Otarł go. A na białej chustce pozostały krwawe krople. Chustkę tę podniósł przed oczy dziewczyny i szepnął jej głuchym, bezdźwięcznym głosem:

— Pamiętaj, żeś widziała człowieka płaczącego krwawemi łzami. A teraz weź dziecko na ręce i zanieś je za mną.

— Gdzież się udamy, panie?

— Napowrót na morze!

Kiedy kapitan von Ungern powrócił z synem i jego piastunką na pokład swego statku, zastał tam już wysłannika admiralicyi, który przynosił ukaz, mocą którego odbierano mu stopień a w jego miejsce nominowano brata kapitanem fregaty. Okrętowa załoga oniemiała, poglądała tylko czekając, jaki obrót wezmą rzeczy.

Rzućcie rozkaz w morze wraz z tym, który go przynosi!

To im dogodziło: tego podjęli się najchętniej!

— A potem za mną tam, gdzie was poprowadzę.

— Pójdziem z wami, panie, choćby przeciw piekłu.

— Ale my nie będziem walczyć przeciw piekłu, podejmiem tylko walkę z ziemią całą i niebem! A wejdziem w sojusz z piekłem, z morzem.

Wicher był zwiastujący burzę, morze wzdymało się wysokiemi bałwany; admiralicyi przyszło na myśl następnego dnia dopiero wysłać pogoń za uciekającym całą siłą rozpiętych żagli okrętem.

Wktótce potem nadeszła wiadomość, że okręt jakiś rozbił się u wybrzeży wyspy Dagö. Znaleziono główny maszt i sztabę okrętu, z których wywnioskowano, z wszelką pewnością, że to właśnie ów ścigany statek z swą załogą pięćdziesięciu ludzi i siedmiu działami, zatonął w głębinie morskiej. O kapitanie Fieodorze von Ungern nie wspomniał już odtąd nikt i słowem.

(d. c. n.)

OGŁOSZENIA

przyjmują się w cenie 10 kop. za wiersz lub jego miejsce.

SUKNIE BALOWE

od najtańszych do bardzo kosztownych, tak z własnego jak i z powierzonego materyału, wykonywa szybko i podług wymagań najświeższej mody

Magazyn Sukien i Strojów Damskich

F. KITZMAN.

41. Nowy-Świat. 41. (3—2)

ŻENSKIJ TRUD

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Wychodzi co miesiąc w Petersburgu, w języku rossyjskim.

Obejmuje:

1. Powieści i opowiadania.
2. Najświeższe mody dla dam i dzieci.
3. Wzory bielizny i monogramów.
4. Wzory rozlicznych robót jakoto: kanwowych, gipiurowych, koronkowych i t. p.
5. Przepisy gospodarskie.
6. Rebusy i szarady.

Do numerów dołącza się:

1. Tablicę kroju.
2. Naturalnej wielkości fasony z bibułki.
3. Ryciny kolorowane.
4. Wzory robót.

Jako **premium**, prenumeratorki otrzymają na Nowy Rok 1881, Książkę przychodu i rozchodu w gospodarstwie, z Kalendarzem.

PRENUMERATA WYNOSI

Na rok:

Bez przesyłki rs. 3, kop. 50.
Z przesyłką rs. 4, kop. —

Na pół roku:

Bez przesyłki rs. 2, kop. —
Z przesyłką rs. 2, kop. 50.

Adres Redakcyi: w Petersburgu, ulica Pantalejmonskaja Nr 14, mieszkania 47; w Moskwie, w księgarni Mamontowa.

Wydawca

(3—2) GETCE.

ZNANA ZE SWEJ DOBROCI

KWIATOWA WODA KOLOŃSKA

z zapachem: jaśminowym, rezedowym, poi de santé, konwaliowym, ylang-ylang, opoponaks fiołkowym, białej róży, fleur d'orange i t. p.

z fabryki **BROCARD & Comp.**

w Moskwie we własnych magazynach,
w Warszawie we wszystkich znaczniejszych handlach.

WARSZAWSKIE LABORATORYUM

CHEMICZNE.

NOWY-ŚWIAT N. 25,

poleca wyroby PERFUMERYJNE:

WODĘ POLSKĄ z kwiatów świeżych: Jaśminu, Konwalii, Fijołków, Róż, Rezedy i innych. Dorównywa miłym zapachem i trwałością perfumom, przewyższa wszelkie wody kolońskie.—50 kop. i 75 kop.

PERFUMY KONWALIOWE (Muguet) najtrwalszy i czysty zapach konwalii ze wszystkich jakie dotąd otrzymano, w skutek ulepszonego sposobu wyciągania woni z tych miłych kwiatów.

EXTRAKT WODY KOLOŃSKIEJ, POMADY, PUDRU, COLD-CREAM, KREM KONWALIOWY, PROSZKI DO ZĘBÓW.

MYDŁO Z KWIATÓW TATRZAŃSKICH (SAVON TATRA), modna ta nowość stała się już codzienną potrzebą każdej eleganckiej toalety, z powodu udelikatniających płeć własności i pięknego zapachu.—25 i 40 kop.

„NASZE PERFUMY," dla miłośników krajowych wyrobów, nie różnią się dobrocią od najlepszych zagranicznych, lecz są o 40% tańsze, po kop. 40 flakonik.

Dostać można w piérwszorzędnych Perfumeryach i Składach aptecznych w Warszawie, w Cesarstwie i na Prowincyi. (4—4)

JANA JELEŃSKIEGO

CZYTELNIE NOWOŚCI.

JEDNA, **Nowy Swiat Nr 4.**

DRUGA, **Graniczna Nr 9.**

Polecają dzieła **wyborowe najświeższe** belletrystyczne i naukowe w językach: polskim, francuzkim, rosyjskim, niemieckim i angielskim.

NIECAŁA, 8.

PRACOWNIA SUKIEN

wykonywanych starannie, podług najświeższych żurnali Paryzkich.

FASONY Z BIBUŁKI,

podług najgustowniejszych modeli, tudzież *sprzedaż Kwiatów wyborowych a tanich.*

NAUKA KROJU, STROJÓW I RÓŻNYCH ROBÓT KOBIECYCH

dla uczennic przychodnich i stałych, u Redaktorki i Wydawczyni pisma: „Nowe Mody Paryzkie"

Maryi Ratyńskiej.

NIECAŁA, 8.

Do dzisiejszego N-ru dołącza się: Rycina kolorowana i Dodatek powieściowy, ...„Między Wrony"... I.

Дозволено Цензурою. Варшава 12 Февраля 1881 года.

W Drukarni J. Bergera, ulica Elektoralna Nr 14. Redaktorka i Wydawczyni **Marya Ratyńska.**